RZUT OKA NA TEATR HISZPAŃSKI, OD POŁOWY XVII WIEKU.

Filip III umarł około dwunastego roku przed zjawieniem się *Lopez de Vega* (w r. 1621), a po tym, melancholicznego charakteru monarsze, nastąpił *Filip* IV, młodzieniec, przyjaciel zabaw i żarliwy miłośnik teatru. Podobał on literatów, często brał ich do swego dworu i lubił z nimi grywać komedye dorywcze (improwizacyyne), które naówczas we Włoszech bardzo były we zwyczaju. Przypisują mu także, w ogólności, wiele sztuk dramatycznych, które wyszły pod nazwaniem: *por un ingenio de esta corte* (duch tego dworu), między innemi komedya: *Dać życie za swoję damę.* Okoliczność ta powiększyła jeszcze zapał, obudzony przez *Lopez de Vega* i przygotowała teatrowi hiszpańskiemu nader świetną epokę. Za życia tego dramatycznego artysty, bardzo wielu autorów poszło w jego ślady, wszyscy atoli, naśladując swego nauczyciela, wcale nie mogli mu dorównać. Dopiero pod koniec jego świetnego zawodu, zjawił się spółzawodnik, *Calderon-de-la-Barca*, który miał jemu odebrać wieniec pierwszeństwa.

Imaginacyi mniey wprawdzie rozległey, ale łacnieyszey, dowcipu prawie zarówno buynego, podobnegoż talentu, jeżeli nie poetyckiego, to przynaymniey rymotwórczego *Calderon*, przypatrując się zaletom i wadom *Lopeza*, mógł go zwyciężyć, a nawet zostawić w publiczném zapomnieniu. W tak nazwanych *autos sacramentales*, czyli dramatach religiynych, granych pod-

czas świąt uroczystych, w obecności całego ludu, pod protekcyą władzy zwierzchniczey, i które dla tych właśnie przyczyn jednały swemu autorowi więcey chwały i korzyści, aniżeli jakie inne dzieło, w tych, mówię, dramatach sakramentalnych *Calderon* przewyższył wszystkich swoich poprzedników i przez żadnego ze swoich następców dorównanym nie został. Wziętość jego i zasługa w tym rodzaju płodów była tak wielka, iż otrzymał patenta na przywiley wyłącznego dostarczania ich dla stolicy królestwa, i to monopolium exekwował lat trzydzieści siedm. *Calderon* nie mniey słynął przez swoje *dramata bohatérskie*, kompozycye dzisia odrzucone, jako *komedye boskie*, ale które wtedy bardzo szacowano. Dla sztuki dramatyczney były zupełnie tém, czém romanse rycerskie dla literatury. Te ostatnie, wyparowane z xiążek przez *Don-Kiszotta*, zdawały się szukać schronienia na teatrze. Ażeby dać wyobrażenie o treści kilku tych dramatów, dosyć jest przytoczyć ich tytuły, jak *np. Życie Semiramidy, córki powietrza; Zmije Kleopatry; Zawiść Rodomonta; Czyny Rolanda i olbrzyma Galafra na moście amantyblskim*, i t. p. Przestaniemy na zastanowieniu się nad *Calderonem*, jako autorem komedyy: *Capa y Espada*. Bynaymniey ani z wynalezienia, ani z malowania charakterów nie jest on sławny i znakomity. We wszystkich jego sztukach znayduiemy wystawionych zalotników odważnych i szczęśliwych, dziewice rozkochane i wszeteczne, rywalów zazdrośnych i płaczliwych, oyców niedołężnych, braci zawadyaków, sługi poufałe, swawolne i do wszystkiego się wtrącające. Wszędzie

natrafiamy na te same zasady, na te same rysy ogólne, na tenże rodzay intryg i wydarzeń. Ale jakże wielka rozmaitość w zgromadzaniu i porównywaniu rzeczy, w niespodzianych przypadkach i ostatecznych rozwiązaniach! co za ruch, co za żywość, co za dokładność i zupełność! Zwyczaynie, widz uprzedza poetę, zgaduje go, nalega nań. Z *Calderonem* rzecz się inaczey dzieje: nigdy nie dozwala on siebie uprzedzić, a widz, porwany mocą jego nadzwyczayney czynności, zaledwo może za nim postępować. Jeśliby sztuka dramatyczna była jedynie sztuką przygotowania akcyi, zwikłania jey, nagromadzenia niespodzianych przypadków, podeyść i ścisłego spojenia węzła, iżby potém rozciąć i rozwiązać nagle całą osnowę zaplątaną; tedyby *Calderon* był zapewne naylepszym w świecie komikiem.

Podczas długiego jego zawodu, który zaczął w roku trzynastym, a skończył w ośmdziesiątym, zjawił się i słynął *Moreto*, spółzawodnik *Calderona* sławy w Hiszpanii i u innych narodów zagranicznych. *Moreto* jest niższym od *Calderona* co do wynalezienia, co do rozkładu planu; lecz jego wyłuszczenie jest jaśnieysze, akcya zaś, mniey utrudniona, postępuje swobodniey. Nie nagromadza tak wiele przypadków, a zatém mniey morduje uwagę, i łatwiey rozwiązuje węzeł, jako nie bardzo zawikłany i ścieśniony. *Moreto*, zapewne, nie jest wolny od złego smaku; w kompozycyach jego znaydujemy wszystkie wady szkolne; mniey atoli, aniżeli *Calderon*, ma tych myśli subtelnych i wyrafinowanych, tych szumnych a czczych gadanin, tych odrębnych, dziwacznych i pustych zdań, które przystrajają całą sztukę

dramatyczną w Hiszpanii. Styl jego jest prostszy, rym łacnieyszy, rozmowa żywsza, żarty trefnieysze i naturalnieysze. Zdaje się mi, iż gdyby otworzono popis publiczny między wszystkiemi teatrami europeyskiemi, i gdyby teatr hiszpański wystawić wypadło przez jednę tylko jaką sztukę; wtedy, z pomiędzy niezliczonych jego dramatów, naylepszy byłby wybor komedyi *Moreta*, pod tytułem: *el Desden con el Desden* (Pogarda z Pogardą), którey zdekoloryzowaną kopią uczynił *Molière* w swojey *Xięźnie Elidzie*.

Moreto nietylko przez to zjednał dla siebie wziętość, iż w komedyi intrygowey stanął na równi z *Lopez de Vega;* ale jeszcze pierwszy z pomiędzy wszystkich nową utorował drogę w dramatyce, kreśląc wzory komedyy charakterycznych, które wówczas nazywano *comedias de figuron*, a których akcya, dotąd rozdzielana między wszystkie osoby, należące do podwóyney lub potróyney intrygi, ograniczała się teraz około jednego człowieka, w którym była uosobiona jaka wada lub śmieszność. Takiemi są komedye: *el Lindo don Diego* i *el Marquez de Cigarral;* osobliwie ostatnia, mająca swym bohatérem pewnego szlachcica, drugiego *Don-Kiszotta*, który stracił rozum, dochodząc genealogii rodu swego i odczytując swoje dokumenta. Ta szczęśliwa w dramatyce nowość, którey głównym twórcą może bydź uważany *Moreto*, jest dostateczną do naznaczenia mu znakomitego mieysca pomiędzy artystami sztuki teatralney.

W tymże, co i on, czasie żył inny poeta dramatyczny, który, za życia swego, nie używa tey sławy, jakiey poźniey nabył, i, jakimś niedości-

głym trafem, został narodom zagranicznym tak nieznany, iż nayznakomitsi krytycy: *Signorelli*, *Sismondi*, *Schlegel*, nie wspomnieli nawet o jego nazwisku. Jeden tylko *Buterwek* wzmiankuje o nim, ale w sposób niedokładny i nic nieznaczący. Byłto zakonnik z *Merci*, nazwiskiem *Fray Gabriel Tellez*, który, z głębi swego klasztoru i pod zmyślonêm imieniem *Tirso de Molina*, dostarczył teatrowi dosyć wiele sztuk dramatycznych, które potém były zebrane i ogłoszone przez jego synowca. Może bydź, iż mniey ma dowcipu aniżeli *Calderon*, i mniey delikatności, jak *Moreto*; ale wszystkich kraju swego poetów przewyższa złośliwością i razem wesołością umysłu. W swoich dowodach mało zważa na regularność, a nawet łacno chybia podobieństwa do prawdy. Stara się jedynie chwytać okoliczności takie, w którychby mógł dać pole żartom swego umysłu szyderskiego i satyrycznego, swey mowy, posuwaney do zbyteczney wolności, śmiałości swych myśli, która nie szanuje ani mocarzów ziemi, ani władzców nieba; niczego nie oszczędza, naciera na wszystko, co go obraża, lub bawi, i, swemu uszczypliwemu pióru dając swobodny zawód, komedye swoje czyni jakby długiemi epigrammatami. Jeśliby rodzay talentu *Tirsa de Molina* chciano poznać przez analogią, tylko do jednego pisarza możnaby go było porównać, do *Beaumarchais*; jakoż, rzeczywiście, między tymi dwóma poetami zachodzi wcale szczególnieysze podobieństwo. Jestem takoż przekonany, iż ze wszystkich sztuk komedyi hiszpańskiey, komedye *Tirsa de Molina* nam Francuzom naybardzieyby się podobały. Są one jednak naymniey znajome.

Pierwsza połowa XVII wieku jest nayświetnieyszą teatru hiszpańskiego epoką. Smak monarchy i narodu zachęcił wszystkich literatów do tego zatrudnienia, naychwalebnieyszego wówczas i naykorzystnieyszego. Oprócz trzech wielkich, wyżey wspomnianych mistrzów, którzy zasługiwali na szczególną wzmiankę, jeszcze exystowało wówczas mnóstwo autorów drugiego rzędu, których przynaymniey imiona musimy tu wyliczyć. Na ich czele powinien bydź umieszczony *Francisco de Rojas*, który, wyrównywając zaletom *Moretego*, stanąłby zapewne z nim na równi, jeśliby go był nie przewyższył w wadach. Potym następują: *Guillen de Castro*, *Velez de Guevara*, *Ruiz de Alarcon*, *La Hoz*, *Diamante*, *Mendoza*, *Belmonte*, *les Figueroas*, *Cancer*, *Enciso*, *Salazar*, *Bances-Candamo;* ci wszyscy, lubo nie tworzyli pewney szkoły, pewnego teatru; przynaymniey atoli dali się poznać przez kilka dobrych kompozycyy.

Nieszczęścia, które w ostatnich latach panowania *Filipa IV* trapiły monarchią hiszpańską, i liczne żałoby dworu, dla których koleją zamknięte były teatra, zadały pierwszy cios sztuce dramatyczney. Śmierć tego Króla, (1665), naygorliwszego jey opiekuna, była hasłem szybkiego i zupełnego upadku. Jego następca, *Karol II*, był jeszcze w wieku dziecinnym, a Królowa Rejentka pierwsze swojey administracyi początki odznaczyła wyrokiem, który jest, zaiste! jedynym w historyi literatury wszystkich narodów. Wychodzi rozkaz, że: „wszystkie komedye ustają dotąd, póki Król, jey syn, będzie w wieku i stanie zabawiania się niemi.” Jakkolwiek ten dziwny rozkaz

nie mógł bydź ściśle wypełniony; łatwo iednak można sobie wyobrazić iego skutek, w takim czasie, w którym nauki kwitnąć zdołały jedynie pod protekcyą magnatów. Jeden czyn w dziejach tego narodu zdolny jest dać nam tey rzeczy wyobrażenie: W pamiętniku, adressowanym do *Filippa IV*, w roku 1632, przez komika *Cristovala Santyago Ortiz*, widzimy, że, pomimo zakazu rady kastyliyskiey, liczono wówczas w Hiszpanii więcey 40stu trupp aktorów kommicznych, a sale widowisk tak się pomnożyły, iż mało wcale było miast, a nawet miasteczek, któreby nie miały swojey. Tymczasem, gdy obchodzono zaślubienie *Karola II*, z naywiększą jak można wspaniałością, nie można było zebrać więcey, jak trzy kompanie aktorów do widowisk na dworze.

W tey epoce upadku i pogardy sztuki dramatyczney, jeden mąż utrzymał chwiejący się teatr. Sławny dziejopis podbicia Mexyku, *Solis*, poświęcił także scenie swą świetną imaginacyą, swóy wesoły dowcip i bogate barwy swego stylu. Zostawił wiele komedyy, godnych epoki, która go poprzedziła, między innemi komedyą *el Amor al uso* (miłość ze zwyczaju), jednę z naylepszych, które wyszły w jego kraju. Z *Solisem* znikł teatr hiszpański, którego historya rozciąga się od *Lopez de Vega* do niego. Gdy po wyniesieniu *Filippa V* na tron hiszpański, wziął przewagę smak francuzki, i przynaymniey na dwór wprowadził zwyczaje dworskie *Ludwika XIV*; Hiszpani, którzy, jak niżey obaczymy, byli naszymi przewodnikami i nauczycielami, przestali na pokorném tłumaczęniu i kopijowa-

niu autorów naszych. Lubo w celu odrodzenia teatru narodowego wielkie usiłowania były czynione, w całym przeciągu wieku XVIII, przez *Zamora*, *Canizaresa*, *Luzana* i *Jovellanosa*; te atoli nie miały pomyślnego skutku, tak, iż jeżeli po małych kompozycyach *Ramona de la Cruz*, chcemy znaleźć dzieło jakie oryginalne; musimy dążyć aż do początku naszego wieku, do *Moratin* i do P. *Martinez de la Rosa*.

Kreśląc ten krótki rys historyi teatru hiszpańskiego, nie mieliśmy zamiaru pisać o nim krytyczney rozprawy: byłoby to rzeczą całego jakiego dzieła; zakończymy go jednakże kilką uwag ogólnych.

Epoka kwitnienia teatru hiszpańskiego była, jeśli tak rzec można, źle obraną. Z jedney strony, po ogólném wstrząśnieniu nauk gruntownych i wielkich dzieł wieku XVI, zły smak przeniknął wszystkie gałęzie literatury, i musiał, koniecznie, skazić scenę teatralną; z drugiey zaś, narody zagraniczne nie nastręczały żadnego przykładu dobrego lub złego, żadnego wzoru do naśladowania lub stronienia. Te dwie okoliczności zostawiły autorów hiszpańskich bez żadnego wędzidła i bez przewodnika. Przeto też w ich dziełach znaydujemy więcey wynalezienia jak rozważania, więcey imaginacyi jak zdrowego rozsądku; więcey weny poetyckiey jak smaku; więcey przymiotów naturalnych, jak nabytych. Stąd pochodzi, iż bardziey usiłowali ułożyć zwikłaną osnowę intryg, aniżeli malować charaktery, że oraz teatr hiszpański mniey jest podobny do galeryi obrazów, a więcey do pewnego gatunku la-

tarni czarodzieyskiey, w którey szybko przemyka tysiąc figur dziwacznych i zawiłych.

Tymże dwóm przyczynom można, po większey części, przypisać drugą wadę, jeszcze ważnieyszą. Jan Jakób *Rousseau* twierdził, iż teatr hiszpański zamiast tego, coby miał służyć do sprostowania obyczajów, do udzielenia dobrych przykładów i pożyteczney nauki, nayczęściey był tylko szkołą zgorszenia i nieobyczayności. Bardzo szkoda, iż nie znał on teatru hiszpańskiego; wtedyby nader łatwo utrzymał to swoje zdanie, uważane za paradoxę, i łacnoby odniósł tryumf. Autorowie hiszpańscy, zamiast jęcia się za maxymę dawnego przysłowia, które zostało godłem teatru, zaniechali wszelkiego wyobrażenia o pożytku, a szukając jedynie zabawy, wzięli za cel to, co powinno bydź tylko środkiem. Prawdziwie ciekawa rzecz widzieć, jak oni z dobrą chęcią, bez szkrupułu, z ufnością i prostotą, byli samowolni i niemoralni. Sprawiedliwie pewien krytyk nowożytny, roztrząsając ich dzieła, mógł wyrzec: „Widzimy w nich uczucia nayskazitelnieysze „odmalowane w kolorach naypowabnieyszych: „zdrady, podeyścia, wiarołomstwa, ucieczki mło„dych dziewic, napady na domy, opór przeciw „sprawiedliwości, pojedynki i bitwy, zasadzo„ne na fałszywym punkcie honoru, upoważnio„ne porywanie panien, gwałty umyślone i speł„niane, trefnisie swawolni, słudzy, którzy przez „swoje niegodziwe pośrednictwa zyskują za„szczyt sobie i sposób do życia, i t. p.”

Łatwo jest wytłumaczyć i w pewien sposób usprawiedliwić surowość, często przez rząd wymierzaną przeciw teatrowi hiszpańskiemu; gdyż

wada wkorzeniona nie była przypadkową ani też właściwą tylko niektórym autorom. Owszem, wszyscy, bez wyjątku, więcey lub mniey stali się jey niewolnikami. Jeżeli w jakiey scenie można dostrzedz pożyteczną jaką lekcyą, bynaymniey nie jest ona owocem namysłu poety: skłonił go do niey tylko plan albo sytuacya osób; wcale zaś on jey nie szukał. Jedynym ich celem było: bawić publiczność i otrzymywać od niey oklaski. Zresztą, nie masz u nich żadney maxymy filozoficzney, żadney myśli moralności cywilney, żadney chęci udoskonalenia towarzystwa. Możnaby powiedzieć, iż autorowie z publicznością jednomyślnie się zgodzili, ażeby nic dobrego nie mogło wyyść z zabawy, potępioney przez kościoł i rząd krajowy, i że trzeba było koniecznie uważać teatr za skażone mieysce. Opinia ta, rzeczywiście praktykowana, zdaje się bydź tym szczególnieyszą, iż większa część autorów, którzy pracowali w zawodzie teatralnym, należała do rządu kościelnego, a mianowicie: *Lopez de Vega*, *Calderon*, *Moreto*, *Tirso de Molina* i *Solis*.

Tłum. Mikołay Roszkowski.

P O E Z Y A.

P O T O P.

Dawno już pyszne wieże, wybujałe drzewy
Zakrył deszcz potokami rzęsistey ulewy,
I wyżey po nad góry olbrzymiey urody
Przewracały się płowe z głuchym szumem wody.
Gdzie nie gdzie wśród ich śniadey bezbrzeżney przestrzeni
Kilka dalekich wzgórków przed okiem się mieni,

Na nich ludzi, jak mrówek, kupy niezliczone
Tłoczą się— pną się w górę— a fale śpienione,
A szybko po ich grzbietach wstępując śmierć chyża
Coraz bardziey i bardziey do nich się przybliża.
Gdzie oko dóyrzy, w szybkim myśl dosięgnie pędzie,
Samo tylko zniszczenie, śmierć, okropność wszędzie:
Tu opada część góry, a z nią i tłum cały
Z przerazliwemi krzyki, w zgubne leci wały,
Tam, przed strwożone człeka ostatniego oczy
Z mokrego wód objęcia, groźny nurt wytoczy,
Konającego oyca— syna w wieku kwiecie,
Lub trup matki, jedyne unoszącey dziecie..
Jeden się jeszcze wzgórek wznosi nad bałwany.
Tam— w byłym niegdyś świecie z cnót, i męztwa znany
Młodzieniec— ulubioną swą schronił dziewicę.
Całą już opanował potop okolicę:
Pośród wściekłości wichrów, pośród ryku fali,
Jedni, na tym samotnym wierzchołku zostali.
Nad niemi— w grzmiącey piorun kołysze się chmurze,
Pod niemi— zgubne morze— do koła ich— burze,
A w całym świecie ciemność okropna, straszliwa,
Którą kiedy nie kiedy, krwawy błysk rozrywa,
Skon natury ponurą okryła żałobą.
Zda się, że każdy powiew ich zagarnie z sobą,
Że każda falana ich śpieszy się połknięcie.
Drżąc, rzuca się dziewica w kochanka objęcie,
Jey warkocz złoto-włosy srogi wiatr rozwiewa,
Nagły deszcz lice— oczy rzewna łza zalewa,
Z gorzkim żalem, z boleścią zawoła „o! luby,
Więc już nic nas zachować nie może od zguby!
Wszystkie nam śmierć okrótna zastąpiła drogi,
Widzę ją, idzie— oną— o losie zbyt srogi!
Któryż z tych groźnych wałów, któryż nas pochłonie?. . .
Raz ostatni już nasze spotkały się dłonie,

Jeszcze chwilka, a wkrótce mnie, ciebie nie będzie,
Grzmią nieba, ryczą fale— strach, okropność wszędzie
Boże! Boże! . . . i drżąca wśród łez, narzekania
Na zimną pierś młodzieńca głowę swoję skłania.
Z boleścią w swe kochanek przyjął ją ramiona.
Długo w niemey rozpaczy przyciska do łona
Drżącą, jak listek, bladą, jak promyk xiężyca.
Wreszcie się usty dotknie jey siniego lica,
„Ach! ockniy się, zawoła, o! luba! o! droga!
Nim na zawsze powieki śmierć nam zamknie sroga,
Rzuć na mnie raz ostatni twém boskiém weyrzeniem!
Przemów! pozwól mi umrzeć z słodkiém zapewnieniem
Żeś w tey okropney chwili, tak jak w życiu całém,
Z równym mię nieszczęsnego kochała zapałem"
Podniosła blade czoło— z westchnieniem głębokiém
Rzuciła nań rozpaczy i tkliwości okiem
I znów nagle z bojaźnią spóyrzawszy dokoła
„Więc nic, rzecze, nic w świecie nas zbawić nie zdoła!
Słyszysz? . . . grzmi morze— piorun po piorunie spada,
Jakże okropną przyszłość los nam zapowiada!
Czémże się zawiniłam Tobie, Stwórco świata!
Nie dawnom żyć zaczęła, i zbyt krótkie lata,
Któreś raczył tey słabey dozwolić istocie,
W bojaźni twojey, w czystey przepędziłam cnocie.
Wszystko, co jest naydroższém, dziś me serce traci,
Życzliwych krewnych— matkę nayżyczliwszą— braci,
Co mi życie uwdzięczać, troski słodzić mieli,
Wszyscy moi w tych zgubnych wodach potonęli:
I ty! coś mi dał życie, móy oycze! o! żale!
Z mojego uściśnienia wyrwały cię fale,
Jeszcześ miotany burzą wśród wściekłych wód łona,
Szanówną wznosił głowę, wyciągał ramiona;
Ale ci los okrótny czasu nie zostawił,
Byś jeszcze raz ostatni mię pobłogosławił.

Tak! wszystko w tym bezdennym już zniknęło grobie,
Wszystko moje naydroższe . . . jednakże— przy tobie—
Posiadając twe serce, twoję miłość tkliwą—
Możebym jeszcze na czas mogła bydź szczęśliwą,
I w nayczulszych objęciach twego uściśnienia . . . .
Lecz nie ma już sposobu, nie ma wybawienia!
Słyszysz, jak wiatr nad zgubną sroży się topielą.
Może nawet nas żywych bałwany rozdzielą,
Od ust moich, od łona porwą cię drżącego! . . .
Zimną wodą i piaskiem oczy twe zabiegą,
Będą cię wśród skał ostrych bystre pędzić tonie,
I spoczynku nie dadzą nawet i po zgonie:
Zginiem zdala od siebie, a wicher szalony
Prochy nasze w przeciwne gdzieś uniesie strony."
A tu jey mowę silna przerwie nawalnica,
Podobna wodnéy trzcinie, chwieje się dziewica,
Szybko ją w swe kochanek objęcie porywa,
Milczy— westchnął głęboko— wreszcie się odzywa,
„Tak! nie ma już sposobu! i w tey straszney chwili,
My jedni tylko całą naturę przeżyli;
Lecz i nas wkrótce zgubny ten potop zaleje.
Gorzko tak nagle wszystkie utracać nadzieje,
I to szczęście, tę dolę, pomyślną i miło,
Którą nam wspólnie przyszłe pożycie wróżyło;
Lecz zwalczyć przeznaczenie, czyż jest w naszey sile?
Za cóż ostatnią żalem twym zatruwasz chwile?
Skarżysz, płaczesz— patrz jednak, jak te rosną zdroje,
Wszystko je bardziey zwiększa— nawet iłzy twoje . . . .
Przytłum więc łkania, wstrzymay twych narzekań głosy!
Stałością można tylko upokorzyć losy.
Niechay cię wiara wzniesie nad męztwo kobicie,
Pomyśl! czémże jest choćby i naydłuższe życie?
Kroplą rosy, co drząca u skały zawiśnie,
I na wiek ginie w morze skoro słońce błyśnie,

Czyliż go tak żałować przystoi na człeka,
Co wierzy, że nań po nim błoga wieczność czeka?
Nie sądź, że nam przychodzi rozstać się na wieki—
Bóg niewinnym wszechwładney użycza opieki:
Zeydziem się z sobą w świętém pomieszkaniu cnoty,
Choć nas wiatr burzliwemi rozerwie poloty,
Choć prochy nasze całe to morze rozdzieli . . .
Tam dla nas hymn weselny zanucą Anieli;
Tam nas rodzice nasi, i rodzina droga,
I dłoń samego będzie błogosławić Boga! . . .
Otrzyy łzy, które próżno oczy twoje ronią!
Tu, w mém objęciu— serce przy sercu— dłoń z dłonią,
Jak od winy, tak równie wolni od rozpaczy,
Oczekuymy spokoynie, co Niebo przeznaczy;
Teraz właśnie, gdy huczą grzmoty, ryczą burze,
Gdy się już wszystko może rozprzęga w naturze,
Z pokorą wznieś ku Twórcy pobożne westchnienie:
Zdołaż Sąd Jego słabe przeniknąć stworzenie?"

Nowe męztwo, duch nowy, w jey się ocknął łonie;
Klęcząc, wzniosła wśród burzy błagające dłonie,
„I we mnie, rzecze, boskie czucie się odzywa,
Ufam, że i mnie przyszłość ma spotkać szczęśliwa;
O! wy! nad których stratą dusza moja płacze,
Wasże wszystkich ja znowu za chwilę zobaczę!
Przed tronem Naywyższego, gdzie radość, wesele . . .
Gdzie się nigdy a nigdy z wami nie rozdzielę.
Nie lękam się już ciebie, o! zgubna powodzi!
Śpieszcie się gromy, wichry! . . patrz! przychodzi
Z groźnym błyskiem, na ciemnych falach, śmierć niesyta,
Ściśniy mię, silniey, tkliwiey— ach! trzymay! już chwyta,
Już bystre wały do nóg moich się zbliżyły ! . .
Trzymam cię luba! z całey duszy, z całey siły,
Raz ostatni cię wierne przyciskają dłonie,
Chwała bądź Naywyższemu! . . witay krwawy zgonie! . .

Umilkł— a długo potém wśród huku i piany,
Uściśnionych burzliwe toczyły bałwany.

Ignacy Dworzecki.

Bytność Boga.

Wyjątek z poematu Rasyna młodszego o *Religii*; tłumaczył X. Antoni *Moszyński* Pijar.

Jest Bóg, Istność Naywyższa, w którą wierzyć trzeba,
Chociaż ją przed mém okiem ukrywają nieba,
Ileż mam o niey świadków, ledwom wzrok otworzył!
Mówcie, niebiosa! morza! ziemio! kto was stworzył?
Was, gwiazdy, czyje w górze zawiesiły dłonie?
Któż ci, nocy, w tey czarney kazał bydź zasłonie?
O Nieba! owa wielkość i wspaniałość wasza,
Bez przerwy, tego Boga bytność mi ogłasza,
Co po waszym lazurze, jak na polach piaski,
Tak licznie rozsiał świateł okazałe blaski.
A ty, co cię jutrzeńka zwiastuje różowa,
Gwiazdo zawsze taż sama, zawsze jednak nowa,
Na czyy rozkaz, o słońce, morskie rzucasz tonie,
Abyś ziemskie twém światłem obdarzyło błonie!
Codzień cię widzieć pragnę, codzień cię posiadam;
Jażto ci każę wschodzić, twym obrotem władam?
I ty, gotowe połknąć ziemię, groźne morze,
Czyjaż cię ręka w twoim zawarła przestworze?
Darmo, przerwać twe szranki silisz się zuchwale;
Twarde brzegi huczącą odpierają falę.
A gdy gniew wywrzesz na tych, co po twey powodzi,
Żądzą zysku pędzeni w kruchey biegną łodzi,

Do ciebież, blizcy zgonu, modły swe zanoszą?
Nie...oni patrzą w niebo, stamtąd wsparcia proszą.
Potężnym przyrodzenia obudzeni głosem,
Wznoszą dłonie do tego, co rządzi ich losem.
Hołd który zwykle człowiek Stwórcy swemu składa,
Gdy w trudnym razie trwoga obleci go blada.
Lecz jeszcze ziemia bytność Boga mi objawia.
Mojażto, mówi do mnie, mojaż to moc sprawia,
Że te rozliczne płody łono me wyradza?
Czyni to Stwórcy mego wszystkorządna władza.
Na Jego rozkaz twojey dogadzam potrzebie.
On wszystko, co mi daje, przeznacza dla siebie.
Te zdobiące mnie kwiaty Jego dobroć mnoży;
Pełne ich moje łono skoro dłoń otworzy.
On w krainie Egiptu spiekłey skwarem srogim,
Chcąc pocieszyć rolnika urodzajem błogim,
Rozkazuje Nilowi, nad moją płaszczyzną
Rozlać się, i z niepłodney uczynić mnie żyżną.
Naymnieysza rzecz w naturze, Jego bytność głosi.
Patrz na drzewo, co z łona mojego się wznosi;
Jak tylko sok móy jego gałęziom powierzę,
Pień go przyymuje, od pnia każda gałąź bierze,
Listki go jeszcze pragną, a gałąź uczynna
Udziela chętnie daru, który mnie jest winna.
Lecz jeśli jednych roślin piękność cię porywa,
Nie gardź też i takiemi, którym na niey zbywa,
Co w królestwie roślinném prosty gmin składają.
Wyśledź tylko własności jakie się w nich tają,
One ci wiek przedłużyć mogą swemi skutki.
Nie narzekay, że zakres ich trwałości krótki.
Każda bowiem roślina, skoro ją uronię,
Nieskończone potomstwo zamyka w swém łonie.

A gdy jedna po drugiey ciągiem następują,
We mnie dalszych pokoleń zadatek znaydują.

Dumanie śród nocy.

Jak uroczyste milczenie!
Noc blade rozwiesza cienie.
Drzémie lasek; a z za lasku
Wschodzi księżyc w pełnym blasku.

Wszystko snem twardym spoczywa.
Tylko się puszczyk odzywa.
I gdzieś w krzakach utajony
Słowik nóci wdzięczne tony.

Znikł ruch stworzeń, znikło życie.
Wiatr z zachodu lekko wieje.
Na odchmurzonym błękicie
Morze gwiazd wspaniale tleje.

Lecz wkrótce noc się rozpryśnie,
Dzień znowu porankiem błyśnie.
Znowu słońce płosząc mroki
Wyleje światła potoki.

Ale kiedy w końcu biegu,
Łodź życia spocznie u brzegu;
Kiedy po śmiertelnym zgonie,
Grób prochy moje pochłonie,

Już tam słońce nie zaświeci,
Głos słowika nie zaleci;
Nie uyrzę których kochałem,
Ciemność mym będzie udziałem.

Oby! gdy w trudney kolei,
Pożegnam na zawsze ziemię;
Duch móy, na łonie nadziei,
Śmiertelne rzuciwszy brzemię.

Skrzydłem Aniołów niesiony,
W te błogie zaleciał strony,
Gdzie nieśmiertelność szczęśliwa,
Gdzie wieczna jasność przebywa.

X. A. Moszyński.

Do ....

Człowiek jest losu igraszką;
Szczęście świata, szczerą fraszką.
Niech więc myśl nasza ulata
Za granicę tego świata.

Tam w czystych duchów krainie,
Wiecznych pociech strumień płynie,
Tam się przepędza wiek złoty,
Bez cierpienia i zgryzoty.

Człowiek zwany panem świata,
We łzach swe przebiega lata.
Choć niebieskim ogniem płonie,
Rodzi się na cierpień łonie.

A gdy w dozgonnym udziale,
Dostał smutek, tęskne żale;
Zabiegi nader próżnemi,
Szuka szczęścia na tey ziemi.

Wszystko na niey jest nietrwałe.
Weź wielkość, bogactwa, chwałę,
Szczęście, roskosz śmiertelnika:
Jestto dym co w chwili znika.

Niech więc myśl nasza ulata,
Za granicę tego świata.
Tam się przepędza wiek złoty
Bez cierpienia i zgryzoty.

X. A Moszyński.

Gołąb'.

Na uschłey siedząc topoli,
Gołąb' smutnie jęczy.
Cierpkiey doznaje niedoli,
Co go mocno dręczy.

Że tak jęczy, tak się smuci,
Jakież są powody?
Pewnie jutro radość wróci,
Z powrotem pogody.

Lecz i przyszedł dzień następny,
I pogodą błysnął,
A gołąbek wciąż posępny;
Żal mu serce ścisnął.

Powiedzże mi, ptaszku luby,
Cóż to cię tak boli?
Ja nie pragnę twojey zguby,
Chcę ulżyć twey doli.

Lecz cóż znaczą te po ziemi
Piórka rozrzucone?
Cichy zefir igra z niemi,
Swieżą krwią zbroczone.

Ach to pewnie ów okrutny
Człek co śmiercią strzela,
Twego ci, gołąbku smutny,
Wydarł przyjaciela.

O zaiste wielka strata,
Strata niezrównana.
Szczęście z druhem wraz ulata,
W sercu wieczna rana.

X. A. Moszyński.

P i o r u n.

Czarne chmur kiry światło słońca kryją.
Ledwo się przez nie mdły promyk przeciska.
Słychać grzmot w dali; niebo często błyska;
Dészcz leje . . . szumią lasy . . . wiatry wyją . . .

Coraz się większe chmur gromadzą cienie.
Coraz się bliżey huk grzmotu rozszerza.
W tém . . . jakby niebios pękło sklepienie,
Z okropnym trzaskiem piorun uderza.

Drżyycie, występni! srogiey bojaźń kary,
Obce dla cnoty, serce lodem mrozi.
Oto za waszych przewinień bez miary,
Bóg zemsty swojey domierzeniem grozi.

Lecz jeszcze zguby waszey nie przyszła godzina.
Słynny litością, bez końca łaskawy,
Bóg zbrodni waszych chętnie zapomina,
I tylko żąda poprawy.

Teraz was bicie piorunów zastrasza.
A jakaż wówczas będzie trwoga wasza,
Kiedy się owa straszna trąba oźwie,
Co was przed Boski trybunał zapoźwie ! !

X. A. Moszyński S. P.

Do Jaskółki

Jaskółeczko piękna moja!
Gdzież to jest oyczyzna twoja?
Ah! czy nie jesteś z tey ziemi,
Gdzie Elżbieta wdzięki swemi
Uszczęśliwia przyjacioły?
Wszelki z nią moment wesoły.
Przy niey me troski słodziłem,
Przy niey też szczęśliwy byłem!-
Lecz wszystko przeszło jak cienie.
O nieszczęsne przeznaczenie!
Ja się oddalić musiałem,
Choć gorzko tego płakałem.
Dziś nawet ciągle łzy leję,
Straciwszy moję nadzieję !
Ah! szczęśliwym będę jeszcze,
Gdy się w jey pamięci mieszczę.
Poleć nazad w tamte kraje,
Gdzie Elżbieta ma zostaje!

Poznasz ją, po złotym włosie,
Po niewinnym, wdzięcznym głosie;
Po prześliczney białey twarze;
Po kosztownym fermoarze;
Po usteczkach koralowych;
Poznasz, po ząbkach perłowych;
Po oczkach błękitnych jasno,
Przy których i gwiazdy gasną.
W nich się to wszystko maluje,
Cokolwiek serce jey czuje.
Poznasz ją po rączce drobney.
A gdy uyrzysz chód nadobney,
Co jak chyża sarna skacze,
Powiedź: *że jey ciągle płaczę!*

J. G. Jf. K.

Osieł i Słowik. Bayka

Naśladowanie.

Osieł ponury
Co dzień na góry
Chodził brać pożywienie;
Słyszał w dolinie,
Na mdłey leszczynie,
Miłe słowika nócenie:
Pokarm go mami i ciekawość łechce,
I chciałby bliżey posłuchać i niechce,
Jednak leniwy krok naprzód pomyka,
Zszedł z góry przecie i rzekł do słowika:

Słyszałem nie raz móy bracie,
O twego głosu pochwale,
Ale,
Chciałbym sam popatrzyć na cię,
I posłuchać twego pienia,
A potém mego wielbienia,
Jeśliś wart; to już świat cały
Twoje pochwały,
Jak echo po lesie,
Wszędzie rozniesie,
I rozgłosi,
Że na całey ziemney osi,
Przechodzisz twojém pieniem wszystkie ptaki,
Spiewaki.
Rzekł: i wielkie ośle uszy
Najeżył.

Słowik niebawnie głos swóy rozszerzył:
Jego melodyyne tony,
Rozchodząc we wszystkie strony,
Jak zefir gdy listki ruszy,
Malując w wodach odcienie,
Tak ptaszyny małey pienie
Rozchodząc we wszystkie strony,
Niosły melodyyne tony,
I przemawiały do duszy.

Słuchał i osieł długo, nie przerywał,
Aż kiedy słowik już wszystko prześpiewał,
I pochwały się spodziewał,
Osieł głową pokiwał,
I rzekł z niejakimś wyrzutem:
Jeszczebyś lepiey śpiewał, gdybyś się z kogutem

Poznał, ucząc się od niego
Tonu przyjemnego.
Uderzony tak podłym dla siebie wyrokiem,
Odpowiedział sędziemu ptak pogardy okiem,
I poleciał gdzie jego chęć błoga uniosła.
Nie day Boże nikomu trafić na sąd osła.

Podróż do szczęścia.
z Rossyyskiego.

Jeszcze w wiosny dni mych kwiecie
Dom oyczysty opuściłem;
Wszystko zbrzydziłem na świecie,
I przyjaciół porzuciłem.

Wziąwszy łachmanę ubogą,
Z dziecinną w sercu prostotą,
Pobiegłem nieznaną drogą,
Z miłym przewodnikiem — cnotą.

Nadziei słodkiey marzenie
Pokrzepiało mię w przechodzie:
Podróżny — rzekło — cierpienie,
Szczęście cię czeka na wschodzie.

Ty uyrzysz kościół fortuny,
Ty weydziesz w jego świątnicę,
Tam w uciech niebieskich łuny,
Zakończysz cierpień dziennicę.

Ranki w wieczory zmieniały,
Wieczór był rankiem zwodniczém,
Szczęścia się progi skrywały,
Szukałem — i byłem z niczém —

Tam napotkałem wód skoki,
Tu wielkie góry— niestety!
Jednak brnąłem przez potoki,
I przez naywyższych gór grzbiety.

Wnet rzeka przedemną stanie,
Ot! i masz szczęście na wschodzie!
Patrzę, alić niedoyrzanie
Pływa czółenek po wodzie.

W nadziei i zachwyceniu,
Poruczam się na los fali,
Szczęście widzę w oddaleniu,
Ono mi się marzy w dali.

Ach! w bezdennym oceanie
Poznałem mylne me ściéki!
Dzień mi, iak przedtém, w tumanie,
A kościół szczęścia daleki.

I na wieki już przedemną,
Unika niebo łaskawsze:
Swiatłość szczęścia tak przyjemną
Straciłem widać na zawsze.

Wiersz Józefa Szeligi Mierzejewskiego z przyczyny zgonu jego siostry, na Wołyniu napisany.

Zniknąłeś wiośniany kwiecie,
Może u wieczności Tronu
Ty kwitniesz na innym świecie,
Gdy ja płaczę twego zgonu.

Lecz jeżeli duszy z duszą
Związek za grobem nie ginie,
Ach! dolecieć ciebie muszą
Me westchnienia w tey godzinie—

Wspomnienia w Altanie M.

Z pobożnością pielgrzyma, z uczuciem kochanka,
Któremu srogi wyrok przesnuł złote chwile;
Witam was drzewa! świadki smutnego poranka,
W którym Adam pożegnał niebieską Marylę;
Witam i żegnam razem! i żegnam z żałobą,
Z jaką ich tkliwe serca rozstały się z sobą.

Ile z gałązek waszych wiatr listków pozwiewał,
Tyle tysięcy westchnień ich piersi wytchnęły,
Tyle on dla swey lubey piosenek wyśpiewał,
Co w jey dziewiczém sercu na wieki zasnęły;
Tylko echa trącone skargą Waydeloty,
Krążą w świecie szerokim, na skrzydłach tęsknoty.

Błogoć ziemski Aniele! z którego zrzenicy,
Strzelił bożek nad inne potężnieyszy bogi!
Błogo i tobie wieszczu! żeś z tey okolicy
Uniosł roskosze, troski, nadzieje i trwogi.
Nieszczęśliwi! lecz nieszczęść waszych świat zazdroś i;
Nié ma sławy bez cierpień, szczęścia bez miłości.

H. Klimaszewski.

Ignacemu i Ludwice C.

Piosnka.

Wam druhowie piosnkę niosę,
Do was tęskną myślą gonię,
By ją złożyć, jako rosę,
Na śnieżystey róży łonie,
    I jak śnieżney róży łono,
    Spija ranne łzy wesela,
    Niech tak w sercu waszém toną,
    Echa piosnki przyjaciela.

Rodem Litwin, wesoł, młody,
Goniąc losu ćmy zdradzieckie,
Zbiegłem kraje, piłem wody,
Za-dnieprzańskie, Kamienieckie,
    I wzleciałem pod Niebiosa,
    Na westchnieniach mey dziewicy;
    I jak tęcza jasnowłosa,
    Skąpałem się w łez krynicy.

Z wiatrem pierzchły marzeń roje,
Kwiaty serca ogniem płoną,
Któż pocieszy smutki moje,
Kto nadzieję zawiedzioną?
    Nad Prypecią w borze ciemnym,
    Spiewały mi wróżki młode,
    Że nad Wilją, że nad Niemnem,
    Znaydę trudów mych nadgrodę —

I pobiegłem w kraje błogie,
I poznałem was druhowie!
I znalazłem skarby mnogie,
Ktorych usty nie wysłowię,

Które duszę mą zasilą,
Przypomnieniem sercu miłém,
Że przeżytą z wami chwilą,
Wieki cierpień osłodziłem.

Wam więc wdzięczne serce niosę,
Was tęskniącą piosnką gonię,
By ją złożyć, jako rosę,
Na śnieżystey róży łonie;
Niech jak śnieżney róży łono,
Spija ranne łzy wesela,
Równie w duszy waszey toną,
Echa piosnki przyjaciela. —

H. Klimaszewski.

Epigramma.

To już jest szyderstwo z nieba,
Równać Arysta do Feba!
To bluźnierstwo warte gromów!
To wielkich bogów ohyda:
Feb ma własnych tuzin domów,
Ten hołysz mieszka u żyda.

Ign. Legatowicz.

Wyrazy Szarad Nru 11go pod liczbami: 35. Źrzenica.— 36. Paragraf.— 37. Przeprawa.— 38. Wyraz.— 39. Żarty.— 40. Wyrok.— 41. Warkocz.— 42. Wygody.— 43. Zyz.— 44. Przywara.— 45. Kaleki.— 46. Ossoliński.— 47. Kościołek.— 48. Seneka.— 49. Parasol.—

KONIEC TOMU IV.

ZIENN

L E N

OK 18

RATURA N

OM CZWA

w WILN

ARNI A. MARC

1829.

ala: „Ledwom dał rady,
ez pana ciężko już było.

źli ludzie szkodzić mi chciel
rém sercem wzruszy się na to
nowey sukni udzieli,
niż zgodził, darzy zapłatą.

zecze, ze mną do stołu,
yjacielu." On nie śmié długo:
iada z panem pospołu,
ze pomni to, że jest sługą.

ieski! my słudzy Twoi,
mieszkasz od nas zdaleka!
, kto Ci w wierze dostoi,
vego przybycia czeka.

SONET; z *Petrarka*,
maczenia *Antoniego Gorecki*

amyślony pomiędzy parowy
dzy głuche lasy i opoki:
lad człowieka uciekać goto
ziksze pustynie niosę moje k

m od ludzi, bo każdy z mey
jakie w sercu ponoszę boleśc
mojém spóyrzeniu ten ogień
codzień trawi, i strawi nare